GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 LIPCA 1933
NR. 14 ROK III

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 14
1933 R.
15 — VII

KOMITET REDAKCYJNY: CZESŁAW BOBROWSKI, Dr. STEFAN BUCZKOWSKI, ALEKSANDER K. IVANKA, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI.

ZDARZENIA i POGLĄDY

UBOCZNE ZYSKI.

W ciągu ostatnich dni niepowodzenie konferencji londyńskiej, które zapowiadaliśmy na łamach poprzedniego numeru „Gospodarki" stało się faktem oczywistym. Przyczyny niepowodzenia tkwiły w samem założeniu konferencji. Wszelkie konferencje międzynarodowe, których tematem obrad będą tylko *pewne* bolączki życia gospodarczego, a nie *wszystkie* trudności, uniemożliwiające gospodarczą współpracę narodów, skazane są z góry na niepowodzenie. Konferencja zaś, która przeprowadziłaby „generalne pranie" wydaje się obecnie nie do przeprowadzenia.

Nadzieje związane z konferencją londyńską polegały na złudzeniu optycznem; myślano, że skoro aż tylu delegatów, tak wielu państw będzie radzić nad poprawą ustroju gospodarczego świata — to przecież coś to da. Istnieje jednak stara prawda, zaczerpnięta z tajników wiedzy teatralnej: nawet najlepsze, najefektowniejsze operowanie tłumem statystów, nie jest w stanie nadać sztuce — treści.

Nie jest to rzeczą przypadku, że równolegle do prac konferencji i w wyniku ustalonych na tej konferencji stanowisk, doszły do skutku porozumienia grupowe, czy regjonalne.

Dla Polski bilans tych porozumień jest specjalnie korzystny. W pierwszej linji jest dla nas korzystny pakt sześciu państw złotych. Jest to bezsprzecznie duży sukces naszej delegacji, że mamy udział w tym pakcie, co bynajmniej nie było tak prostem, jakby się mogło wydawać. W rezultacie przez pakt „sześciu złotych" otrzymujemy wielkie atuty moralne, jako czynnik stabilizacji gospodarczej w Europie, oraz atuty realne w formie ewentualnej pomocy banków centralnych państw o złotej walucie dla naszego banku emisyjnego, w razie „czarnej godziny". Tem samem trwałość złotego zostaje znacznie wzmocniona. Pakt ten stanowi więc pewnego rodzaju ukoronowanie niezwykle konsekwentnie przez Polskę przeprowadzanej polityki stałości waluty. Delegacja nasza na konferencję londyńską przywiozła odrazu owoc tej polityki w postaci pożyczki angielskiej na inwestycje kolejowe. Dalsze pozytywne rezultaty może nam dać zjazd londyński, o ile dojdzie do skutku porozumienie zbożowe. „Przy okazji" parafowany został w Londynie traktat polsko-austryjacki; jeden z ważniejszych w serji nowych traktatów handlowych.

Pozytywny rezultat konferencji londyńskiej dla Polski polega przedewszystkiem jednak na imponderabiliach, które nam w międzynarodowych stosunkach gospodarczych daje fakt, że w Londynie wystąpiliśmy w gronie krajów przeciwstawiających się ryzykownej grze eksperymentów, a opierających się o klasyczne zasady ekonomji.

Mnożą się wciąż głosy tych, którzy w konferencji londyńskiej chcieliby widzieć „pogrzeb pierwszej klasy" ustroju kapitalistycznego. Stanowisko to nie wydaje się słuszne: w Londynie można było oglądać bolączki wszystkich istniejących ustrojów i pół-ustrojów. Przez niepowodzenie konferencji londyńskiej ogólna sytuacja gospodarcza uległa dalszym komplikacjom. Temniemniej w pewnym sensie nie jest ona —poważną. Zbyt mało powagi zawierała w sobie reżyserja tej konferencji, by nikły jej rezultat mógł wywołać poważne perturbacje w ustroju gospodarczym świata.

STEFAN MEYER

IMBROGLIO

Walka z kapitalizacją i ze stanem zatrudnienia była nieuświadomionym czynnikiem polskiej polityki gospodarczej.

Imbroglio polskiej polityki gospodarczej polega na tem, że od początku niepodległości nie umiano się wyrzec walki z kapitalizacją i walki ze stanem zatrudnienia.

Pozornie jest wręcz przeciwnie. Przecież na zwiększenie stanu zatrudnienia poświęcono miljony; niestety bezskutecznie, a hasło kapitalizacji rozlega się na łamach rozmaitych pism gospodarczych i nie gospodarczych i czytamy tam poważne rozważania na temat, co czynić, aby wzmódz tempo akumulacji kapitału w kraju tak biednym, jak Polska. Zdawałoby się, że jawna i szczera troska o kapitalizację nie może iść szereg lat w parze ze zwalczaniem pożądanego zjawiska. Zdawałoby się, — a jednak język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie: hasła sobie, a rzeczywistość sobie.

Struktura podatkowa u nas obcina wszelkie kapitały nagromadzone wewnątrz przedsiębiorstwa, a służące do niewidocznego dla laika, tem nie mniej koniecznego zjawiska, zwanego „ufundowaniem", lub „solidnem ufundowaniem" przedsiębiorstwa. Nie o to idzie, aby państwo nie partycypowało w dochodzie społecznym, ale aby partycypując nie podcinało dochodu lat przyszłych.

Po pierwsze podatek dochodowy, jednakowy dla rentjerów i dla osób czynnych gospodarczo, dla przedsiębiorstw drobnych i dla wielkich, o dużym kapitale własnym, wieloosobowych spółek, — jest wyraźnem utrudnieniem kapitalizacji w dużych przedsiębiorstwach. Pomijam, czy to jest sprawiedliwe, czy nie, czy się to opiera na przesłankach etycznych, społecznych, czy innych. Gospodarczo, a tylko ta strona zjawiska może nas interesować, gdy idzie o wzrost kapitałów zatrudnionych w Polsce, — gospodarczo jedna skala podatku dochodowego dla przedsiębiorstw o rozmaitych kapitałach jest równoznaczna z utrudnieniem kapitalizacji tam, gdzie już akumulacja kapitału jest znaczna. Zasada taka, może zupełnie słuszna in abstracto, lub gdy idzie o ochronę drobnego kapitalisty przedsiębiorcy, jest nie na czasie w kraju biednym, gdy idzie o kapitalizację coute que coute.

A czy u nas, mimo hasła „frontem do małego człowieka" istnieje ochrona drobnego kapitalisty-przedsiębiorcy? Drobna płotka musi — w przeciwstawieniu do rekinów, — a raczej a fortiori, być konkurencyjną: módz robić obrót, przedewszystkiem obrót ze znikomym zyskiem, czy choćby na granicy zysku; w okresie walki konkurencyjnej bez zarobku, ale zawsze bez strat, bez marnotrawienia kapitału, którego odbudowa jest ponoć celem wszelkiej polityki gospodarczej. Z założenia łatwości i płynności obrotu wynika postulat możności łatwego i bez kosztów storna tranzakcji, łatwego obracania towarem i usługami, a więc skasowania tych wszystkich opłat, które obciążają obrót: zarówno alkabali*), jak wynikłych z niej opłat stemplowych: zarówno czystego podatku obrotowego, jak opłat od umów, rachunków i pokwitowań.

Opłaty obrotowe mogą być: albo partycypacją państwa w zysku netto na obrocie. a więc pewną niedoskonałą formą podatku dochodowego, albo też stają się konfiskatą substancji, tem większą, im usilniej obracamy towarem lub usługami. W tym ostatnim wypadku, kto wspiera kapitalizację — winien unikać obrotu. Ko chce zachować substancję — winien unikać tego, co nową substancję stwarza, co stanowi istotę i treść życia gospodarczego. Mógł coprawda istnieć podatek obrotowy w rozmaitych krajach stulecia całe; cała szkoda w tem, że były to kraje o wielkim zarobku brutto (Egipt Ptolemeuszów na tranzycie, Hiszpanja na monopolu kolonji), a stulecia owe były okresem gospodarczego upadku. Na mniej silnych organizmach, jak wolne miasto Brema, ujemne skutki podatku obrotowego odbijały się po latach kilkunastu.

Podatek i opłaty obrotowe — to druga przeszkoda na drodze do stworzenia szybkiego własnych kapitałów. Jest ona coprawda przez obecny obóz rządowy usuwana (Ustawa z dn. 19.XII 1931 r.), ale zbyt wstydliwie i nieśmiało. Tak jakby propagatorzy kapitalizacji liczyli, że zgubne skutki alkabali będą neutralizowane przez niesumienność płatników — przez nieuczciwość podatkową. Smutne przypuszczenie. Wiemy, że praktyka pewnych nagany godnych urzędów skarbowych opiera się na założeniu nieuczciwości płatników, „jak na djamencie". Czyżby braki ustawodawstwa podatkowego miały swe źródło w założeniach cuchnących taką moralną zgnilizną? Wszak braki ustawy o podatku dochodowym prowokują emigrację kapitału, który wraca w formie terminowej pożyczki. Czyż nie byłaby zdrowszą taka struktura podatku, przy której wspomniana konstrukcja byłaby poprostu złym interesem. Przecież poza innemi celami, państwo ma zadania wychowawcze. Fryderyk III, król duński, nad gmachem sądu w Kopenhadze kazał umieścić napis: „Med lov skal landet bygges" (Prawem należy kraj budować). Czyż wychowanie uczciwych płatników nie jest interesem? Interesem, w którym opłaci się inwestować przejściowy, kilkoletni spadek dochodów z jednego ze źródeł?

Żart na stronę: Podatek obrotowy, uczciwość podatkowa i kapitalizacja w szybkiem tempie — to trzy czynniki nie dające się jednocześnie urzeczywistnić. Z którego zrezygnować. które popierać i zachować — niech inni osądzą.

Hasło kapitalizacji, wysuwane obecnie w Polsce jest hasłem nie dla kapitalizacji w wielkim stylu, dla akumulacji narzędzi produkcji w najszerszem znaczeniu. Jest ono hasłem oszczędności dla małych ludzi, żyjących od pensji do pensji. Tutaj istotnie panuje zupełna harmonja: hasło jest wy-

*) Podatek obrotowy uchwalony w Alcabie, w Hiszpanji w XIII w.

suwane w formie oszczędności, przez ludzi żyjących ze stałego uposażenia, dla ludzi o określonych uposażeniem budżetach, dla tej całej sfery, co za „uczciwy zarobek" uważa jedynie uposażenie, dochód z majątku, lub dziedzictwo, a wszelki inny dochód, będący właśnie odbiciem gospodarczej twórczości, uważa za dochód „kombinatorów".

Aby jednak uważny obserwator nie miał złudzeń co do koordynacji słów i poczynań, miljony ciułaczy otrzymują warunki w największej, do ich dyspozycji stojącej instytucji, gorsze, aniżeli w szeregu mniejszych; gorsze nie tylko pod względem oficjalnej stopy procentowej, ale przedewszystkiem w dziedzinie mniej dostrzegalnej dla człowieka z ulicy: przy sposobie obliczania dni procentowych i w terminach kapitalizacji. Może sądzę niesprawiedliwie. Może to tylko akt rycerskości, ułatwić mający konkurencję mniejszym kasom oszczędności. W każdym razie ciułacz składający zaraz po pierwszym swe uposażenie do P. K. O. aby zeń żyć, w ciągu miesiąca podnosząc całą złożoną pierwotnie sumę, nie będzie miał żadnych materjalnych korzyści, żadnych odsetek, wzamian za wielokrotne wystawanie w ogonku.

I tu jest trzeci objaw rozbieżności haseł i czynów: niedość rzetelny stosunek do ciułaczy. Drobni oszczędzający, to może jedyni obywatele, których należy traktować, jak niepełnoletnich, tj.: dbać o ich interesy nawet wtedy, gdy sami się o nie nie upominają, albowiem z istoty ciułacza wynika, że jest to przeważnie człowiek nieobeznany z arkanami bankowości, a wartość tej oszczędzającej masy, wartość zarówno materjalna ich wkładów, jak wartość moralna i wychowawcza ich wysiłku, jest tak znaczną, że chociaż oszczędność nie jest jedyną formą kapitalizacji, jest jednak formą wymagającą troskliwego pielęgnowania.

Sferami miarodajnemi byli w Polsce przez stulecia ludzie, daleko stojący od twórczości gospodarczej. Kapitalizm handlowy średniowieczny, zbyt prędko zamarł u nas naskutek najazdów tatarskich, aby zostawić ślad na psychice narodowej. Gdy państwo po podziałach okrzepło, drogi handlu światowego szły gdzieindziej, nie przez Polskę. Źródłem bogactwa narodowego stało się rolnictwo i wszelka działalność pozarolnicza stała się obcą polskim politykom. Uchwały sejmów 1643 i 1645 r., cytowane przez min. Kwiatkowskiego w „Dysproporcjach" dostatecznie malują tło psychiczne stosunku narodu do zarobku przemysłowego, lub handlowego. Do tego dodajmy nawarstwienie drugie: wpływ psychiki urzędniczej rosyjskiej, (niedostrzegalny w Kongresówce, silny w Cesarstwie), oraz austrjackiej: przyzwyczajenie całej sfery do życia z uposażeń i do tego, że dochód nie będący uposażeniem, ani rentą od kapitału jest najprawdopodobniej łapówką. Oraz nawarstwienie trzecie, ostatnich dziesięcioleci przed wojną: wpływy wszelakich odcieni myśli socjalistycznej, wyrosłe ze wspólnego pnia: „La propriété c'est le vol".

Te trzy kategorje wpływów, przy braku rodzimego handlu zamorskiego, który jest naturalną podstawą rozwoju psychiki gospodarczej, musiały doprowadzić do emocjonalnego nastawienia społeczeństwa, które nie liczyło się wcale z prawami przyrody w dziedzinie gospodarczej. A pomne Mickiewiczowskiego wezwania: „Mierz siły na zamiary" nie zwróciło uwagi na znacznie starsze: „Wedle stawu grobla". Dziś nikt otwarcie nie przyzna się, aby zwalczał bądź własność prywatną, bądź zarobek. Ale któż zaprzeczy, że podświadomie wspomniane wyżej czynniki działały przy powstaniu nietylko ustawy o podatku dochodowym, czy obrotowym, ale i szeregu innych ustaw w Polsce.

Dziś to samo emocjonalne nastawienie jest najsilniejszą zaporą przeciw kapitalizacji.

To też hasło kapitalizacji, hasło tworzenia własnych rodzimych, polskich kapitałów, rozlega się jedną jakgdyby tylko sylabą: mówi się tylko o oszczędności, o ciułaniu, o obniżaniu i tak już rekordowo niskiej stopy życiowej. I jakim celom ma służyć owa masa oszczędności? Ma dać narodowi możność odbudowania zużytych kapitałów obrotowych, dać możność stworzenia nowych narzędzi produkcji, oraz stworzyć możność nowych inwestycji publicznych.

Czyż tylko drogą oszczędności drobnych ludzi dojść można do tych celów? Przecież kapitalizacja wewnętrzna w przedsiębiorstwach tak samo stwarza nowe narzędzia produkcji i odtwarza brakujący kapitał obrotowy. Tak, ale tylko o ile nie jest zbyt silnie opodatkowana. Opodatkowanie to, wyrosłe na tle pewnego emocjonalnego stosunku okresu powojennego do spraw nie tyle gospodarczych, co społecznych, zwraca się swym ostrzem tak silnie przeciw społeczeństwu, że nastawienie się zmienia.

Szereg artykułów, drukowanych bądź pod wspólnym tytułem „Z zagadnień kapitalizacji", bądź pod innemi w „Gazecie Polskiej", zwalnia mnie od obowiązku wyjaśniania, jak podatek dochodowy działa na kapitalizację i jakiemi posunięciami te niepożądane wpływy zneutralizować. Ale podkreślić muszę, com powiedział przy podatku obrotowym: jeśli reforma jest niezbędną — to nie należy jej ani przeciągać, ani załatwiać połowicznie. Stawką jest pytanie: Czy będziemy gospodarzami u siebie.

O tem, że u podstaw polskiej polityki, nawet na polu gospodarczem, leżą nie pragnienia i postulaty ekonomiczne, że jej kierownikom przyświecały czy też może poprzez jej arkana przeświecały inne zadania społeczne etc. — tego dowodem liczne wypadki interwencji, stanowczo uszczuplającej kapitał narodowy i zmniejszającej stan zatrudnienia. Bankructwo jednej przeinwestowanej firmy może być ulgą dla całej branży. Usunięcie technicznie wysoko stojącego konkurenta może uruchomić szereg warsztatów. A jednak.

A jednak ratuje się technicznie wyżej stojące przedsiębiorstwa, nawet przeciążone długami, nawet z perspektywą spłacania długów zagranicę poprzez dziesiątki lat, obciążając bilans płatniczy narodu koniecznością eksportowania nieokreślonej, wobec wahań cen, ilości towaru. Zamiast dać jednemu czy kilku kolosom runąć, pozwolić na automatyczne zlikwidowanie należności drogą bankructwa, a na ruinach dać wzrosnąć konkurentom, właśnie owym małym ludziom co, pracując taniej, wywołują ze strony przeciążonego kapitałem przemysłu uwagi o „nielojalnej" konkurencji.

Niewczesne interwencje, uleganie argumentom słusznym w oderwaniu od rzeczywistości, ale mało

ważkim wobec innych zjawisk współczesnych, to czwarty dowód, że hasło kapitalizacji nie wsiąkło tam, skąd wyszło.

Piątym są niewczesne inwestycje. Owe „ruiny Polski", jak rzeźnia za 3 miljony, której magistrat wykończyć nie może, bo mu do niej brak 300.000, jak zapomniana dziś kolej Warszawa — Rawa, jak rozpoczęte jednocześnie dwa nowe gmachy Politechniki Warszawskiej, — oto najtrwalszy dowód marnowania kapitału, marnowania surowca i pracy w bezowocnych poczynaniach, zamiast ich fruktyfikacji w skoordynowanym wysiłku. W tych murach i robotach ziemnych leży trwały pomnik nastawienia emocjonalnego całego narodu, dla którego przyziemne sprawy materjalne nie grały roli, gdy szło o wielkie poczynania.

Owo nastawienie emocjonalne stworzyło też i na rynku pracy sytuację paradoksalną.

Zwiększyć stan zatrudnienia można tylko dając pracownikom perspektywę rozwoju bądź własnego warsztatu, bądź, gdy idzie o najemców, stanowiska w cudzym warsztacie. Bodźcem do wysiłku jest nadzieja na awans społeczny. I w jednym i w drugim wypadku musi istnieć nadzieja, a więc i możność rozbudowy warsztatu. Nowe warsztaty powstają bądź na starych polach, bądź dla zaspokojenia nowych potrzeb. Nowe potrzeby uchodzą za zbytek. Zwiększyć stan zatrudnienia można przez indulgencję dla zbytku, to jest dla takich potrzeb, jak mydło, buty, zapasowa koszula, które dany konsument dotychczas traktował jako zbytek. (Dla konsumenta na innym szczeblu społecznym będą to inne artykuły). Hasło indulgencji dla zbytku, nie życia nad stan, które jest uszczuplaniem substancji, zmniejszaniem kapitału, pogodzić z hasłem oszczędności można o tyle, o ile drobny kupiec potrafi wyrobić rynek na dany towar.

A ten drobny kupiec i ów niewielki przemysłowiec, to się niezupełnie daje pogodzić z duchem większości polskich ustaw socjalnych i podatkowych. Powstawały one w okresie innego nastawienia emocjonalnego i noszą tego wyraźne znamiona.

Na starych polach, gdzie rynek jest nasycony, konkurencja jest coraz trudniejszą i ostrzejszą i prowadzi albo do wypompowania resztek kapitału własnego z przedsiębiorstw i do bankructw, albo do ucieczki na nowe pola. Możność akumulacji kapitału na starych polach jest ograniczona. Cały nacisk, jak to słusznie przed rokiem zauważyła „Gazeta Polska" należy położyć na nowych przedsiębiorstwach, na nowych potrzebach, na nowych rzemiosłach i przemysłach. Tą drogą szedł zresztą przez cały wiek XIX, postęp gospodarczy i postęp techniczny. Ale te nowe przemysły, zanim okrzepną, zanim się ugruntują, muszą mieć szereg lat pracy bez przeszkód, a że w obecnych naszych warunkach będą z reguły zakładane bez pieniędzy, lub z kapitałem niedostatecznym, więc poza brakiem przeszkód muszą mieć możność wewnętrznej kapitalizacji bez obciążania jej podatkami.

Wnioski?

Przebudowa podatku dochodowego: zróżnicowanie dochodu rentjerów od dochodu przedsiębiorców. Ulgi dla spółek. Uzależnienie skali podatku w spółkach anonimowych od stosunku dochodu do kapitału własnego, względnie tylko do zakładowego i rezerwowego.

Szybkie skasowanie alkabali i opłat stemplowych, obciążających obrót handlowy; szybsze, aniżeli przewiduje ustawa.

Ulgi, nie fakultatywne lub nowowznoszonych budowli dla Gdyni, ale jawnie z góry, (bez podań ze strony zainteresowanych, podań które długo leżą, a podatki tymczasem trzeba płacić) dane na określoną ilość lat dla nowych gałęzi przemysłu.

Ulga czasowa, na okres lat 20 — 25 dla dochodu zużytego na wewnętrzną rozbudowę (finansową, nie techniczną), wzorem ustaw bułgarskich. Np. wydzielenie z podstawy opodatkowania w spółkach dochodu odpisanego na rezerwy jawne, aż do czasu pokrycia nieruchomości i znacznej części realnych aktywów obrotowych przez kapitały własne.

Nie poruszam tu zagadnienia budżetu: rozpada się ono na dwa zagadnienia w związku z poruszonym tematem: 1-o czy zubożenie kraju może się nie odbić na zakresie funkcji państwa, a więc na wysokości budżetu. W mojem zrozumieniu ubóstwo na tem polega, że nie możemy zaspokoić wszystkich naszych potrzeb 2-o a) czy proponowane zmniejszenie podatków zmniejszy a la longue wpływy podatkowe; b) czy pozostawienie dotychczasowego stanu rzeczy nie zmniejszy tego wpływu?

Istnieje jeszcze inne rozwiązanie imbroglia. Kapitalizacja — oszczędność dla indywiduów, dekapitalizacja dla przedsiębiorstw Tylko jak tam będzie z bogactwem narodowem i ze wzrostem potęgi zubożałego kraju?

Zapomnijmy o pieniądzu. Pieniądz jest tylko miernikiem wartości. Wartość — to towary, usługi, masa ludzka, kórą można bezwzględnie dysponować, oraz możność stworzenia tych usług i towarów i możność przekarmienia tych ludzi. Wzmódz tę możność, to znaczy wzbogacić kraj, a jak się to wyrazi w nominale może być niekiedy obojętnem.

Interwencja państwowa, ratująca przed spisaniem kapitały bilansowe (z prawej) a utrudniająca wzrost ilościowy ich równoważników (z lewej), bądź w formie rozwoju konkurentów, bądź w formie rozwoju własnych środków produkcji, — jest tak sprzeczna z naczelnym gospodarczym hasłem wszystkich czasów: z hasłem akumulacji kapitału, z hasłem „Enrichissez vous", że każe doszukiwać się innych, a więc pozagospodarczych planów.

Analiza i roztrząsanie tych celów, tak samo, jak poruszone powyżej zagadnienia budżetowe, choć mają związek z niniejszym artykułem, ale wykraczają poza jego ramy.

Imbroglio, wsparte na fundamencie dwóch kardynalnych błędów, powikłać się mogło tak wspaniale dzięki temu, że istnieją coprawda w Polsce zagadnienia gospodarcze; istnieje również i polityka; istnieje szereg działaczy na obu polach; ale szkoły, którąby rozwiązywała zagadnienia gospodarcze nie z punktu widzenia interesów grupowych, a interesu powszechnego, którąby naszkicowała pożądany kierunek rozwoju nie objawów, a rozwoju tendencji, rozwoju ambicji gospodarczych, dotychczas w Polsce niema. Niema polskiej polityki gospodarczej.

JÓZEF PONIATOWSKI

ZAGADNIENIE NADAL OTWARTE

Dzisiejsza rzeczywistość nie pozwala się spodziewać, aby zakończenie rządowej akcji obniżki cen kartelowych można było uznać za ostateczne.

Pomimo przydługiego trwania depresji gospodarczej, przejście gospodarki światowej do fazy poprawy, jeśli pominąć możliwości przejściowych ożywień sztucznych, nie wydaje się łatwe, a to z powodu niedostatecznego zaawansowania procesów wyrównawczych. Dotyczy to w szczególności decydujących w świecie kapitalistycznym potęg, których polityka gospodarcza, przez zastosowanie silnych środków zapobiegających na czas pewien objawom kryzysu, zahamowała procesy wyrównawcze, przyczyniając się walnie do nadania kryzysowi charakteru przewlekłego.

Polska nie miała środków na kosztowne eksperymenty, nadto Rząd wykazał dużą odporność na sugestję stosowania znachorskich recept „zwalczania" kryzysu. Dzięki temu procesy przystosowania się postąpiły u nas dalej, niż w wielu innych krajach. Rozmiary produkcji, a zwłaszcza produkcji dóbr wytwórczych, zostały wcześnie zredukowane, a większych zapasów towarów nie posiadają ani wytwórcy, ani pośrednicy, ani też odbiorcy; płace zostały nagół dostosowane do zmienionej siły nabywczej pieniądza; budżet Państwa uległ w części nieopancerzonej silnej kompresji; skurczono również, chociaż niezawsze jeszcze w stopniu dostatecznym, budżety samorządów terytorjalnych i specjalnych; obniżono część taryf kolejowych; ceny większości dóbr spadły do połowy poprzedniej wysokości, ceny towarów kartelowych i monopolowych doznały niejakiej obniżki; zredukowano pewne kategorje i wysokość oprocentowania niektórych długów; życie gospodarcze zostało na wielu odcinkach uproszczone i potanione. Wymienione procesy odbyły się przy nienaruszonej walucie i nienaruszonych podstawach zdrowego życia gospodarczego, z jedynym wyjątkiem w postaci ustaw, naruszających istotę zobowiązań dłużnych, co wszakże zostało dokonane w obliczu niewątpliwej grozy położenia i nie może być precedensem na przyszłość.

Można więc zupełnie objektywnie utrzymywać, że depresja znaczną część swej roli już w Polsce odegrała, w każdym razie część większą, niż w krajach, które mogły sobie pozwolić na wstrzymywanie jej działania. Dalszego trwania depresji w Polsce nie można jednak przypisywać wyłącznie czynnikom zewnętrznym. Nie jesteśmy jeszcze całkowicie przygotowani do przejścia do fazy poprawy. Ceny dóbr, nie podlegających konkurencji i niektórych usług zmieniły się niewspółmiernie mniej, niżby to wynikało z położenia pieniądza; zadłużenie życia gospodarczego jest nadal bardzo uciążliwe; przedsiębiorstwa „na glinianych nogach" nie zostały wyeliminowane ani w przemyśle, ani w handlu ani w rolnictwie; miejsca na tworzenie nowych przedsiębiorstw o dużych widokach rentowności jest mało: przerosty w postaci nadmiernych płac dyrektorskich, różnorakich synekur, nadal istnieją; rynek pieniężny nie ujawnia takiej płynności, jaką zwykł się odznaczać okres przejścia od depresji do poprawy gospodarczej; zaufanie do stałości stosunków gospodarczych nie powróciło, skoro nadal tezauryzacja w złocie zastępuje te formy oszczędności, które mogłyby się stać podstawą kredytu.

Wymienione procesy nie są od siebie niezależne, przeciwnie, pozostają pomiędzy sobą w ścisłym związku. Utrzymywanie cen „opłacalnych", wyższych od poziomu, który ustaliła „rujnująca konkurencja", jest narzędziem zachowania przy życiu mniej więcej wszystkich zakładów, należących do skartelizowanych gałęzi produkcji, a nawet zaoszczędza im nadmiernego wysiłku reorganizacyjnego. Brak bankructw, umożliwiony z jednej strony przez przewłaszczenie nadmiernej części dochodu społecznego na rzecz karteli, z drugiej przez „samarytańską" politykę kredytową, utrudnia oddłużenie życia gospodarczego, a nadto, wbrew dość powszechnej opinji, utrudnia bodaj że w stopniu decydującym powrót zaufania i przedsiębiorczości. Wielkie upadłości nierzadko są przyczyną paniki, ale po upadku znacznej części przedsiębiorstw nieprzystosowanych do nowych warunków, gdy pozostałe wykazują dostateczną żywotność, horyzont się wyjaśnia, znika przygnębiający nastrój wyczekiwania katastrof. Jakże oczekiwać, by publiczność za stezauryzowane pieniądze nabywała obligacje przedsiębiorstw, co do których istnieje wątpliwość, czy ich byt nie opiera się na podstawach sztucznych i nietrwałych? Jak żądać by powstawały nowe inwestycje, gdy stare a błędne nie ustąpiły z miejsca, jak to się zdarzało przy dawniejszych wahaniach konjunktury? Dopiero po przejściu fali likwidacyj, oraz pewnego czasu, potrzebnego na wzmożenie się poczucia bezpieczeństwa i pewności, stezauryzowane sumy zaczną szukać rentowniejszych lokat. Jeżeli równocześnie niskie ceny surowców i pozostałe niskie koszty zachęcą do wyzyskiwania tego okresu taniości dla inwestycyj, które w innym czasie kosztowałyby o wiele drożej, wówczas pojawi się zespół warunków, umożliwiających poprawę. Bez tych warunków propaganda inwestowania nietylko nie pomoże, ale może wywołać tu i tam rozczarowania i opóźnić pożądane procesy psychiczne.

Dlatego wydaje mi się, że klucz dzisiejszej sytuacji konjunkturalnej leży w zagadnieniu dalszego obniżenia cen „sztywnych" i to nie „do granic opłacalności", ale do poziomu, odpowiadającego w przybliżeniu poziomowi cen dóbr niezwiązanych, chociażby miał się on okazać *poniżej poziomu opłacalności pewnej* liczby przedsiębiorstw. Dopóki organizacja wielkiego przemysłu pozwoli mu na kształtowanie cen sprzeczne z naturalną dynamiką, a równocześnie zmniejszonej produkcji odpowiadać będzie nie zmniejszenie liczby zakładów, tylko zmniejszenie zatrudnienia we wszystkich zakładach, albo odszkodowania, wypłacane części warsztatów

za bezczynność — dopóty bardzo trudno będzie wyobrazić sobie warunki istotnej poprawy.

Dłuższe trwanie kryzysu zapewne doprowadziłoby kiedyś sam przemysł do zaniechania środków stabilizujących depresję, jak doprowadzi zapewne w stosunkach międzynarodowych do likwidacji znacznej części zadłużeń i zakończenia ery szkodliwych eksperymentów. W interesie Państwa leży wszakże raczej krótsze niż dłuższe trwanie kryzysu. Ingerencja Państwa, idąca w kierunku przywrócenia działania praw ekonomicznych, wypaczonych przez porozumienia monopolowe, nie może być poważnie kwestjonowana. Na drogę takiej pożytecznej ingerencji polityka gospodarcza Polski już weszła. Weszła roztropnie, logicznie i — zatrzymała się. Po kompresji budżetu, akcji oddłużeniowej, lekkiem obniżeniu cen związanych, pojawiły się nowe projekty o typie znachorskim, zmierzającym ku przedłużeniu kryzysu, jak projekt funduszu interwencyjnego w rolnictwie. Enuncjację o zakończoniu przeprowadzonej akcji obniżenia cen kartelowych zrozumieli zainteresowani, jako pogodzenie się Państwa z utrzymaniem dzisiejszego poziomu cen. Taka interpretacja jest wprawdzie sztuczna, bo w rzeczywistości nic nie stoi na przeszkodzie, aby po przeprowadzeniu dotychczasowej akcji i zbadaniu jej skutków, podjąć, jako następny etap, dalszą akcję, opartą na nabytem doświadczeniu, ale zagadnienie, czy akcja taka będzie podjęta, pozostaje nadal otwarte. Nie wątpię, że odpowiedź na to pytanie da w ostatniej instancji konieczność gospodarcza, ale nieodkładanie decyzji aż do nastania momentu konieczności wydaje się wielce pożądane.

Zgadzam się w zupełności z p. Czesławem Bobrowskim [1], że byłoby godnem najwyższego ubolewania, gdyby akcja obniżania cen stać się miała punktem wyjścia dla „mechanicznego rozwoju intearwencjonizmu“, aby Państwo miało przyjąć na siebie troskę i odpowiedzialność za ustalanie „słusznego“, albo „sprawiedliwego“ poziomu cen. To niebezpieczeństwo nie zachodzi, skoro dokładnie zdamy sobie sprawę, że współodpowiedzialność za sztuczne wyeliminowanie cen kartelowych z ogólnego strumienia zniżkowego podjęło Państwo już w chwili, gdy dało kartelom zabezpieczenie przed konkurencją zagraniczną, a w znacznej liczbie wypadków — także przed krajową. Skoro Państwo osiągnęło na pewną grupę cen wpływ decydujący, to utrzymywanie ich poziomu w dalszej odległości od tego, którySby się musiał ustalić pod wpływem konkurencji, obarcza większą odpowiedzialnością, stanowi wyższy stopień interwencji, niż współdziałanie z dynamiką naturalną. Zdaje mi się, że w samem ujęciu celów tej akcji nie odbiegam od tego, co p. Bobrowski określił w wyżej cytowanym artykule jako „środek przywrócenia automatyzmu gospodarczego“. Za takiem „A“ nie potrzebuje następować „B“, skoro wymaganiom praw ekonomicznych już „A“ uczyni zadość.

Istnieje słuszny pogląd, że oczekiwanie zniżki cen powoduje powstrzymywanie się od zakupów, a zatem utrudnia zwiększenie obrotów. Jednakże nie każdy trudny proces da się przeprowadzić odrazu. Między cenami związanemi i wolnym rynkiem pozostała zbyt wielka dyspersja, aby można było polecać przebycie jej jednym skokiem. Przystosowanie się do niższego poziomu cen wymaga pewnego czasu. Przy spontanicznym przebiegu cyklu konjunkturalnego ceny spadają stopniowo i nie można również mieć za złe polityce gospodarczej dokonywania obniżki etapami. Zainteresowani mają pełną możność skrócenia tego przykrego okresu przez wcześniejsze obniżenie cen. W każdym razie iluzją jest przypuszczenie, jakoby decyzja zakupów zależała od tego tylko czy zostanie ogłoszone, że ceny zostaną utrzymane. Społeczeństwo dobrze ocenia anormalność dzisiejszej dyspersji cen i podświadomie spodziewa się usunięcia zbyt jaskrawych anomalij. Zniżka ceny powodować może chwilową spekulację na dalszą zniżkę, ale za to niski poziom sprzyja raczej spekulacji na zwyżkę i wzrostowi zakupów. Bardzo pouczający jest tu przykład nawozów potasowych, których ceny obniżono dwukrotnie pod bardzo silnym naciskiem, w jesieni r. ub., co dało tak dobry wynik, że niedawno ogłoszono dalsze obniżenie cennika, już bez żadnego nacisku.

Pozostaje zagadnienie środków dalszej akcji. Presja moralna, jak dotąd, nie wszędzie okazuje się skuteczna, skoro dotąd nawet przeprowadzone oficjalnie obniżki nie w całości stały się ciałem, co również w części tłumaczy p. Bobrowski. Ustawa kartelowa jeszcze nie jest wypróbowana, wydaje się ona wszakże narzędziem mniej skutecznem od środków presji gospodarczej, zwłaszcza od dopuszczenia konkurencji. Środki gospodarcze są zapewne wystarczające, wszakże w razie potrzeby istnieje łatwość znowelizowania ustawy kartelowej. Wreszcie, w stosunku do cen niektórych towarów, Rząd posiada ustawowe upoważnienie do bezpośredniego regulowania ceny. Nie przepadam za takiemi uprawnieniami, ale ich istnienie powoduje równocześnie odpowiedzialność za dalszą ewolucję cen.

Do cen związanych zaliczam również taryfy kolejowe i pocztowe (także telegraficzne i telefoniczne), a także ceny monopoli państwowych, zwłaszcza ceny soli, której spożycie reaguje na konjunkturę słabiej niż spożycie innych towarów, ale już i ta reakcja ma swoją wymowę społeczną.

[1]) „Łańcuch Konsekwencyj“ — „Gospodarka Narodowa“ Nr. 8 z r. b.

Dr. KAZIMIERZ STUDENTOWICZ

PROBLEMAT ZŁOTEGO

W polskiej opinji publicznej istnieją dwa z gruntu fałszywe przekonania: 1) że wartość złota jest stałą; 2) że wartość złotego polskiego musiałaby w razie konieczności odstąpienia od jego obecnego parytetu ulegać stałej i niczem nieograniczonej deprecjacji. Chcę zwrócić uwagę na fakt, że złoty papierowy niewymienialny na złoto może posiadać w obecnych warunkach warość dużo stalszą od samego złota i że kontrola wartości takiego złotego leży w zupełności w rękach rządu i banku centralnego.

W arykule p. t. „Zabobon waluty złotej“ ogłoszonym w Nr. 13 „Gospodarki Narodowej“ z 1-go lipca b. r. postawiłem twierdzenie, że waluta złota nie zapewnia w sposób trwały stałości wartości pieniądza, lecz że jej całe znaczenie polega na tem, że jest ona rodzajem unji monetarnej państw posiadających tę walutę. Jedynem kryterjum stałości wartości pieniądza są ruchy poziomu cen. Możliwość utrzymania względnej choćby stałości poziomu cen jest jednem z naczelnych zadań każdego systemu pieniężnego, dlatego że bez względnej choćby stałości poziomu cen nie tylko że niema możności postępu gospodarczego, ale gospodarstwo społeczne jest zmuszone nawracać do coraz bardziej prymitywnych warunków egzystencji. Mówiąc o względnej choćby stałości poziomu cen mam na myśli jedynie granice, w których poziom cen wyrażony w walucie krajowej może się wahać, uważając za dopuszczalne jedynie przesunięcia od 5% do 10% wzwyż lub wdół. Rozróżnienie względnego (nominalnego) poziomu cen od bezwzględnego (realnego) „wyrażonego w jednostce stałej, w złocie — dajmy na to“, jak to zrobił krytyk mojego artykułu w „Gazecie Polskiej“ z dnia 5-go lipca b. r. w uwadze p. t. „Szkodliwa recepta“, świadczy o zupełnem niezrozumieniu zarówno sensu mojego artykułu, jak i samego problemu gospodarczego znaczenia poziomu cen. Przedewszystkiem bowiem samo złoto nie tylko, że nie posiada żadnej bezwzględnej wartości, lecz przeciwnie wartość jego, jak tego jesteśmy naocznymi świadkami, może podlegać nadzwyczaj wielkim wahaniom; powtóre zaś nie istnieje wogóle, ani też nie jest nawet możliwem do wyobrażenia sobie jakiekolwiek dobro wyposażone w bezwzględną wartość. Samo pojęcie takiej wartości jest zupełnie niedostępne gospodarstwu społecznemu.

Stwierdziwszy, że wartość złota może podlegać i faktycznie podlega nadmiernym wahaniom, wyciągnąłem z tego wniosek, że w okresach kiedy zjawisko to występuje, jest dużo lepszą rzeczą odstąpić od parytetu złota wyrzekając się stałości kursów zagranicznych na rzecz stałości wewnętrznego poziomu cen, dążenie bowiem do jednego z tych celów wyklucza ipso facto drugi.

Wynikający stąd spadek wartości krajowej jednostki pieniężnej wyrażonej w złocie połączony z utrzymaniem na niezmienionym poziomie wartości tejże jednostki wyrażonej we wskaźniku towarowym, jest właśnie mojem zdaniem — wbrew temu co mi z powodu niezrozumienia sensu mojego artykułu imputuje wspomniany wyżej krytyk — najdoskonalszą metodą dostosowania krajowego poziomu cen do spadającego poziomu cen światowych wyrażonych w złocie. Doskonałość tej metody będącej zupełną odwrotnością metod stosowanych w państwach środkowo- i południowo europejskich, które przeszły przez okres nadmiernej deprecjacji pieniądza, polega na tem, że zamiast z niesłychanie wielkim mozołem i katastrofalnemi wprost skutkami dla rozmiarów produkcji i konsumcji naginać wszystkie inne elementy życia gospodarczego do sztywnego kursu pieniądza, pozwala się dostsosować kursowi pieniądza do zmienionych warunków, pozostawiając wszystkie inne elementy życia gospodarczego wolne od nadmiernej i niesłychanie szkodliwej ingerencji prowadzącej najprostszą i najpośpieszniejszą drogą do autarchji.

Jeżeli się w całym szeregu państw, które przeszły przez okres nadmiernej deprecjacji pieniądza, stosuje zamiast tej najprostszej i najbardziej naturalnej metody, drogę okrężną połączoną z gwałceniem normalnego rozwoju wszystkich innych procesów gospodarczych, to dzieje się to dla zadośćuczynienia drugiemu zabobonowi pieniężnemu, którego omówienie odłożyłem do obecnego artykułu. Zabobonem tym jest, że z chwilą porzucenia waluty złotej i przejścia na manipulowaną walutę papierową musi dojść do niczem nieograniczonej inflacji na końcu której leży w sposób nieuniknniony hyperinflacja i zupełne odrzucenie krajowej jednostki pieniężnej jako miernika wartości. Że się w razie nieudolnej i idącej po linji najmniejszego oporu polityki kredytowej banku centralnego oraz polityki budżetowej państwa tak stać może, to jest oczywistością, której przeczyć nie można, ale dlaczego tak się stać *musi* tego absolutnie nikt wytłumaczyć nie potrafi. W opinji publicznej istnieje mimo to ślepa wiara, że się tak stać musi. Ten fenomen psychiczny tłumaczy choroba hyperinflacji, którą się przechodzi raz na pokolenie. Potem jest się już odpornym na tę chorobę, ale pozostaje koszmarny lęk odejmujący zdolność chłodnego i rzeczowego rozumowania.

To chorobliwe nastawienie opinji publicznej posiada wyłącznie emocjonalny charakter i jako takie pozbawione jest wszelkiej logiki. Z jednej stro-

---

Errata: W art. p. Studentowicza, drukowanym w N-rze 13 „Gospodarki Narodowej“, str. 211 wiersz 23 od dołu zamiast słów „Jedyną walutą“ winno być „Jedyną taką walutą“.

ny bowiem istnieje w niem przekonanie o ścisłym związku, jaki zachodzi między ilością pieniądza i jego wartością. Z drugiej strony tkwi w niem potępienie wszelkiej innej waluty poza walutą złotą na tej podstawie, że manipulowanie poziomem cen jest niemożliwe, co jest równoznaczne z zaprzeczeniem jakiegokolwiek związku między ilością pieniądza i jego wartością. Raczej winienbym się wyrazić w ten sposób, że w nastawieniu tem tkwi przekonanie o związku między ilością pieniądza i jego wartością z tem tylko ograniczeniem, że związek ten może się wyładowywać w jednym tylko kierunku, a mianowicie w kierunku ustawicznej. niczem nieograniczonej i niemożliwej do opanowania zwyżki poziomu cen. Do społeczeństwa o podobnem nastawieniu nie trafiają żadne argumenty natury rzeczowej. Przeżywszy już raz stoczenie się waluty papierowej na dno przepaści instynktownie zupełnie, nie wdając się w ocenę czegokolwiek, skazuje ono każdą inną walutę niewymienialną na złoto, w które jedynie wierzy, na ten sam los.

Licząc się z tem nastawieniem społeczeństwa i nie mogąc przewidzieć głębokości i długotrwałości obecnego kryzysu, wszedł rząd polski na drogę obrony waluty złotej za wszelką cenę. Metody jakiemi broniono złotego i konsekwencje gospodarcze tego są zbyt powszechnie znane, żeby je tutaj omawiać. Możnaby wobec tego powiedzieć, że dyskusja na temat waluty złotej jest przez sam bieg wypadków przesądzona. I takby rzeczywiście było, gdyby istniała pewność przebrnięcia przez okres rozbicia gospodarstwa światowego, do czasu kiedy powrócą warunki, w których normalne funkcjonowanie waluty złotej będzie zpowrotem możliwe. Porzucenie jednakże waluty złotej przez Stany Zjednoczone celem przeprowadzenia akcji oddłużenia u siebie w domu zmieniło radykalnie sytuację. Uniemożliwiło ono dojście do porozumienia monetarnego Anglji, Francji i Stanów Zjednoczonych aż do czasu, kiedy te ostatnie uznają akcję oddłużenia u siebie za ukończoną i zechcą zawrzeć układ o stabilizację dolara de facto, jako wstęp do późniejszego powrotu do waluty złotej. Tem samem zostały przesądzone wyniki konferencji londyńskiej, na której nie będzie mogło dojść do żadnych zdecydowanych posunięć w kierunku przywrócena jedności gospodarstwa światowego.

W międzyczasie ewolucja rezerw złota Banku Polskiego nie przedstawia się pomyślnie i niema wielkiej nadziei, żeby pod tym względem mogła zajść zasadnicza zmiana na lepsze. Wyzbywanie się rezerw złota bez widoków na trwałe utrzymanie waluty złotej mogłoby uniemożliwić powrót do tej waluty o własnych siłach, gdy zaistnieją po temu objektywne warunki. Możemy się zatem znaleźć u dróg rozstajnych, przy których kwestja waluty złotej wypłynie ponownie w całej swej aktualności.

Nie mówiąc o tem, czyby to miało jakikolwiek sens, można bronić złotego aż do ostatniego kilograma złota w Banku Polskim. Nie przesądzając biegu wypadków warto zastanowić się nad kierunkiem rewizji dotychczasowej polityki walutowej *na wypadek* dalszego odpływu złota z Banku Polskiego. Rewizja ta mogłaby iść w kierunku jednej z dwuch możliwych form zawieszenia waluty złotej: po pierwsze zatem ukrytego, po drugie zaś jawnego odstąpienia od parytetu.

Waluta złota przestaje istnieć w kraju nie z chwilą ogłoszenia jakiejś ustawy w tej mierze, ale z chwilą praktycznego zawieszenia wymienialności banknotów na złoto względnie też na dewizy wymienialne na złoto. Anglja nie ogłosiła nigdy podczas wojny, że odstępuje od waluty złotej. Podobnie postąpiły obecnie Stany Zjednoczone. Wszystkie państwa środkowo- i południowo europejskie porzuciły walutę złotą zachowując w tym względzie wszelkie pozory wstydliwości. W ten sam sposób mogłaby postąpić i Polska, co też śledząc uważnie dotychczasowy przebieg wypadków, należałoby uznać za najbardziej prawdopodobne. Tą drogą nie osiągniemy jednak żadnych korzyści, ponosząc w dalszym ciągu same straty. Kurs złotego nie spadnie wprawdzie w oficjalnych cedułach giełdowych, w rzeczywistości jednak odżyje czarna giełda, która po długim okresie niepewności i niejasności wywalczy sobie legalne stanowisko. Dopóki to nie nastąpi eksport polski i życie gospodarcze kraju nie będą mogły realizować swobodnie tych korzyści, jakieby im jawny spadek złotego zapewnił od samego początku.

Rząd polski okazał przy sposobności obrony złotego tyle rozwagi i bezwzględności, że przy dalszem ich stosowaniu jawne odstąpienie od waluty złotej nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa i może mieć jedynie wybitnie dodatnie następstwa dla życia gospodarczego kraju i Skarbu Państwa.

W pierwszym rzędzie chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że porzucenie parytetu złotego wcale nie oznaczałoby utraty stałości kursów zagranicznych, wobec bowiem zawieszenia waluty złotej wcześniej od nas przez większość świata i tak stałość ta jest od dłuższego już czasu fikcją. Nie stracimy również tej busoli, jaką dla polityki kredytowej złoto - walutowego kraju są fluktuacje rezerw złota. Rezerw tych bronił rząd polski nie uchylając się przed najbardziej niepopularnemi zarządzeniami. Doszliśmy jednak do tej granicy, przy której dalsze redukcje budżetowe, ograniczanie importu, obniżanie cen i restrykcje kredytowe wydają się niemożliwością, jeżeli zaś nią nie są, to byłyby w każdym razie aktami nadzwyczaj dotkliwemi dla resztek pulsujących objawów życia gospodarczego. Zrozumienie tego staje się wbrew wszelkim przesądom walutowym coraz bardziej powszechne.

Jesteśmy od szeregu miesięcy świadkami posunięć, które są żywym dowodem, że instynkt samozachowawczy bierze górę. W miejsce dalszych redukcyj budżetowych jesteśmy świadkami operacyj kredytowych rządu na rynku pieniężnym; w miejsce dalszych restrykcyj kredytowych uniemożliwionych w wysokim stopniu przeprowadzoną ostatnio ustawową akcją oddłużeniową, przystąpiono do częściowego upłynnienia instytucyj finansowych za pośrednictwem Banku Akceptacyjnego; zamiast pozwolić cenom spaść do możliwie najniższego poziomu powstają coraz nowe projekty ich podniesienia, zwłaszcza jeżeli chodzi o ceny płodów rolnych, tak że żądanie obniżki cen jest zupełnie zresztą słusznie ograniczone do skartelizowanych cen artykułów przemysłowych; import spadł do granic, poniżej których zejść nie możemy; zawiesić obsługi długów

zagranicznych również nie chcemy. Twarde konieczności życiowe wskazują nam właściwą drogę. Oczywiście jednak powyższe posunięcia nie działają hamująco na odpływ złota.

Powstaje kwestja, co winno się obrać za nowe kryterjum polityki kredytowej na przyszłość. I tutaj występuje w pełni na jaw to niesłychane wprost skomplikowanie sytuacji wywołane tem, że po szeregu lat ultra-deflacyjnych zarządzeń łącznie z całą ustawową akcją oddłużeniową życie samo zmusza nas do wejścia na drogę, niepoświęcania wszystkich innych elementów gospodarstwa społecznego dla jednego z nich i to bynajmniej nie najważniejszego, a mianowicie stałego stosunku pomiędzy wartością złota i wartością waluty krajowej.

Manipulowana waluta papierowa tem się jedynie różni od waluty złotej, która jest również walutą manipulowaną w najściślejszem tego słowa znaczeniu, że nie posiada jednego tylko kryterjum, jakiem w wypadku waluty złotej są fluktuacje rezerw złota, ale cały szereg różnych kryterjów, według których manipulacja ta ma się odbywać. Metody bowiem manipulacji są identyczne i w jednym i w drugim wypadku.

Waluta papierowa może być manipulowana w taki sposób, żeby: 1) doprowadzić do wzrostu poziomu cen; 2) utrzymać stałość poziomu cen; 3) doprowadzić do zniżki poziomu cen. Przykładów na wszystkie trzy rodzaje manipulacyj posiadamy zwłaszcza ostatnio dosyć. Dostarczają nam ich: ad 1) Stany Zjednoczone; ad 2) Anglja wraz ze swemi dominjami i państwa skandynawskie; ad 3) w sposób najmniej udolny, bo przeciwny naturze środkowo- i południowo-europejskie kraje.

Wybór jednego z powyższych kryterjów utrudnia nadzwyczaj przeprowadzona już ustawowa akcja oddłużenia. Ze względu na tę okoliczność świadome dążenie do wzrostu poziomu cen wydaje się być wielce niewskazane, jakkolwiek przed ustawowa akcją oddłużeniową byłoby jedynie właściwem. Dalsze obniżanie ogólnego poziomu cen mógłby zalecać tylko zaprzysiężony wróg państwa. Pozostaje drogą eliminacji jedynie kryterjum utrzymania obecnie istniejącego poziomu cen z tem zastrzeżeniem, żeby nie stosować żadnych więcej środków deflacyjnych, mających na celu przeciwdziałanie inflacyjnemu wpływowi, jaki w razie porzucenia waluty złotej może wywrzeć na krajowy poziom cen powrót na rynek stezaurvzowanych kapitałów oraz wzrost kosztów produkcji skazanej na import nieodzownych surowców zagranicznych. Jeżeli bowiem chodzi o ceny oclonych artykułów to utrzymanie ich na niezmienionym poziomie w złotych jest zupełnie możliwe do osiągnięcia przez odpowiednią zniżkę i tak wygórowanych stawek celnych.

Żeby jednak panować nad sytuacją, musiałby rząd okazać w dalszym ciągu tę samą bezwzględność, jaka go cechowała w okresie obrony waluty złotej. Musiałby zatem:

1) twardo trzymać się polityki zrównoważonego budżetu za wszelką cenę, choćby kosztem nawet dalszych obcięć wydatków już po spadku złotego;

2) w razie runu na instytucje finansowe nie próbować ratować ich w drodze specjalnych kredytów redyskontowych w Banku Polskim, ale na run odpowiedzieć w jedyny możliwy sposób, t. j. świętami bankowemi, a jeśliby i to nie pomogło, trwałemi ograniczeniami w wypłatach wkładów przez tak długi czas, aż społeczeństwo zorjentowawszy się, że poziom cen i kursów dewiz nie idzie dalej wgórę — przyjdzie zpowrotem do zdrowego rozsądku; muszę dodać nawasem, że run na banki może powstać dużo łatwiej w okresie deflacji, niż w okresie spadku waluty krajowej;

3) nie pójść na lep absolutnie żadnych pomysłów ożywienia tej czy innej gałęzi życia gospodarczego przy pomocy emisji pieniądza papierowego na cele gospodarcze względnie też na tworzenie w ten sposób funduszów, choćby nie wiem jak wzniosłe nazwy tym funduszom nadano, n. p. fundusz ratowania waluty złotej.

Zastosowanie wszystkich wymienionych wyżej środków jest dużo łatwiejsze, niż stosowanie zarządzeń deflacyjnych, w których przeprowadzeniu rząd okazał tyle energji i bezwzględności. Ich stosowanie będzie polegało bowiem prawie że wyłącznie na niedopuszczeniu do jakichkolwiek nierozważnych emisyj złotego. Najsilniejsza nawet reakcja psychiczna społeczeństwa musi się wypalić, natrafiwszy na zupełny brak zwiększonej podaży waluty krajowej. Po opanowaniu sytuacji i przeczekaniu odpowiedniego okresu czasu będzie natomiast mógł rząd kształtować swoją politykę kredytową wyłącznie z uwagi na stałość krajowego poziomu cen, aż do czasu, kiedy po usunięciu najważniejszych przeszkód na drodze nieskrępowanego gospodarstwa światowego zaistnieją ponownie objektywne warunki powrotu do waluty złotej.

Wszelki początkowy wzrost cen, jaki jest możliwy dzięki powrotowi na rynek stezaurvzowanych kapitałów i wzrostowi kosztów produkcji zależnej od importu nieoclonych surowców, nie będzie mógł być poważny i co ważniejsze, nie będzie się mógł więcej powtórzyć. Będzie go należało uważać z jednej strony, jako pośrednią i konieczna redukcję uposażeń i płac. Z drugiej strony natomiast przyczyni się on do nieznacznego wprawdzie, ale niemniej pożytecznego ożywienia życia gospodarczego, pewnego zmniejszenia bezrobocia, dalszego oddłużenia i wkońcu wzrostu wpływów skarbowych, ułatwiając tem samem zrównoważenie budżetu, w którym wzrośnie jedynie pozycja obsługi długów zagranicznych.

Należy również przypuszczać, że poziom cen nie poszedłby przy rygorystycznem zastosowaniu wspomnianych przezemnie środków wgórę na tyle, by zanulować zupełnie premje eksportową uzyskana na skutek spadku złotego. Wzrost eksportu wynikły stąd, ułatwiłby w dalszym stopniu ożywienie życia gospodarczego.

Nie trzeba dodawać, że wszelkie klauzule złota i t. p. nie będą mogły być w żadnym wypadku utrzymane, jeżeli chodzi o zobowiązania krajowe. Stosowanie ich jest taką samą niemożliwością, jak sztywny budżet państwowy, sztywne płace, sztywne ceny poszczególnych towarów i t. p. Nie anulacja klauzuli złota jest nieuczciwością, ale wstawianie klauzuli złota do umów bez liczenia się z niemożliwością jej dotrzymania w razie daleko posuniętego spadku cen w złocie. Z punktu zaś widzenia państwowego jest stosowanie klauzuli złota świadomem podkopywaniem stanowiska waluty kra-

jowej. To też prawo np. angielskie i francuskie nie uznaje wogóle możności stosowania takich antywalutowych klauzul. W stosunku natomiast do zobowiązań zagranicznych nie wyłączając długów państwowych byłoby pożądanem skłonienie wierzycieli zagranicznych do zrezygnowania z tej olbrzymiej i zupełnie niezasłużonej premji, jaką im zapewnił wzrost wartości złota, o ile naturalnie te państwa same tej premji nie usuną przez dewaluację swych jednostek monetarnych.

Jakkolwiek konieczność porzucenia parytetu złotego nie mogłaby pociągnąć za sobą w obecnych warunkach życia gospodarczego Polski żadnych ujemnych konsekwencyj, przeciwnie skutki tego mogą być w razie stosownej polityki banku centralnego i rządu wybitnie dodatnie, trzeba sobie zdać sprawę, że głębsze i trwalsze ożywienie życia gospodarczego połączone z powrotem pomyślności jest możliwe tylko w razie ponownego spojenia rozbitego dziś na drobne cząstki gospodarstwa światowego. Na to jednak posiadamy wyjątkowo mały wpływ — jesteśmy skazani na bierne wyczekiwanie.

UWAGI

PRZETARG CZY SAMOWOLA.

Zagadnienie zamówień państwowych, a ściślej dostaw i robót na rzecz Państwa i innych instytucyj prawno-publicznych, nie cieszy się popularnością w publicystyce gospodarczej A właściwie nie. Popularnością cieszą się, względnie cieszyły się te kwestje z danego zakresu, które mają charakter niejako odświętny, atrakcyjny dla wyobraźni i dający ekonomiście pole do popisu. Zagadnienia te mieszczą się w zakresie sprawy oddziaływania poprzez zamówienia rządowe na wahania konjunkturalne. Natomiast zagadnienia „dnia powszedniego" tej popularności nie zdołały sobie zdobyć. Chodzi mianowicie poprostu o to w jakiej formie i drodze, na jakich zasadach mają być udzielane zamówienia rządowe i pokrewne — tak, ażeby zapewnić maksimum korzyści kupującemu, nie wywołując jednak perturbacji na rynku i nie łamiąc dostawcy, co nigdy dla odbiorcy nie jest z korzyścią. Centralnym punktem tego zagadnienia jest oczywiście kwestja określenia ceny za nabywane przez Państwo towary czy usługi.

Zagadnienie ceny przy zakupach rządowych powstaje i powstawało zawsze ze względu na to, iż cały szereg właściwości i ułomności zarówno elementu ludzkiego, jak i samej biurokratycznej struktury państwowego aparatu zakupów nie przesądzał kierowania się przez ten aparat motywami normalnie rządzącymi nabywcą. Innemi słowy nie istniała a priori pewność, że państwowy aparat zakupu będzie się starał nabyć towar po najniższej cenie rynkowej. W kierunku zapewnienia tego szło całe ustawodawstwo przedwojenne, oparte o zasadę przetargu, stwarzającego niejako specjalny rynek dostępny dla wszystkich dostawców i tylko jednego odbiorcy, ale pod innemi względami normalny. Ustanawiając system przetargowy ustawodawstwo przedwojenne liczyło się niewątpliwie również z faktem, którego niesposób ominąć: z możliwością korrupcji.

Po wojnie problem się skomplikował. Przyczyną nie jest sprawa korupcji, bo tu mamy tylko różnicę stopnia, nie zasady, ale sprawa motywów, które powinnyby rządzić zakupami państwowymi. Państwo współczesne czuje się aż do przesady odpowiedzialne za całokształt życia gospodarczego. Jakżeż można w tych warunkach dążyć do zakupu po jak najniższej cenie, jeżeli ta cena może w niektórych wypadkach okazać się ceną stratną dla dostawcy, może pociągnąć za sobą nierentowność i dewastowanie warsztatu pracy? Przestaje być obojętną również kwestja osoby dostawcy. W sensie solidności wykonania umowy nie była ona nigdy obojętna, — ale dziś zjawia się nowy dodatkowy motyw wyboru, np. „chęć wyeliminowania zbędnego pośrednika", nie po to, ażeby samemu płacić mniej, lecz po to, ażeby producent mógł uzyskać więcej. Pokrewne motywy spotykały się sporadycznie i dawniej, ale dziś występują one na plan pierwszy. Rzecz inna, że praktyka zakupów państwowych poszła po innej, jeszcze gorszej linji, niż ta, jaką narzucałaby „nić sympatji i współczucia", nawiązująca się pomiędzy Państwem-odbiorcą a jego dostawcami. Praktyka poszła po linji dwu, trzy i czterokrotnego unieważniania przetargów, urządzania po przetargu ofertowym dodatkowych przetargów ustnych. Inaczej mówiąc celem, do którego praktyka dążyła stało się nie uzyskanie najniższej ceny rynkowej, lecz ceny uprzywilejowanej, szczególnie niskiej.

Skutkiem bardzo prostego błędu logicznego zwyrodnienia systemu przetargowego zamiast wywołać atak na nie same tylko, spowodowały atak na zasadę przetargu. Jeśli chodzi o dostawców, to oczywiście w ich stanowisku było coś więcej niż błąd logiczny. Jako przeciwstawienie systemowi przetargowemu wysunięto koncepcję zakupu po cenie „gospodarczo uzasadnionej" Zdaję sobie sprawę z tego, że czytelnik-ekonomista terminu „cena gospodarczo uzasadniona" nie zrozumie. Nie jestem jednak w stanie wyjaśnić logicznie nielogiczności. Próbowałem sprecyzować pojęcie „ceny gospodarczo uzasadnionej", zastępując je pojęciem ceny, nie przynoszącej strat. Oczywiście i to nie pomaga, gdyż i w tym wypadku niewiadomo, jakie elementy kosztu własnego należałoby brać pod uwagę i z jakim liczyć się zyskiem. Próbowałem odwrotnie, podsunąć (w myśl suggestji jednego z ekonomistów) tym razem nie czytelnikom Gospodarki lecz zwolennikom nowej doktryny, bardzo trafną definicję ceny gospodarczo uzasadnionej. Proponowałem mianowicie ustalenie, że gospodar-

czo uzasadniona jest taka cena, przy której dostawca nie zrywa umowy. Okazało się jednak, że ta wystarczająca logice definicja nie wystarczyła moim rozmówcom, którzy stwierdzili, że w tem rozumieniu cena byłaby uzasadniona tylko z punktu widzenia odbiorcy. W tych warunkach najlepszem będzie zapewne zgodnie z rzeczywistością pojmowanie ceny „gospodarczo uzasadnionej" poprostu jako ceny wyższej od rynkowych, ceny uprzywilejowanej, ale w kierunku odwrotnym: nie dla odbiorcy, ale dla dostawców.

Stoimy w przededniu uregulowania zagadnienia zakupów i zamówień rządowych. Ramowa ustawa, która się w tym względzie ukazała, wymaga rozwinięcia w szczegółowych przepisach. Powstaje problem, czy przepisy te powinny pozostać w ramach klasycznego, czystego systemu przetargowego, czy też oprzeć się na jakiejś innej, nowej zasadzie, jak np. koncepcja ceny gospodarczo uzasadnionej? Nie chodzi o drobiazg. Według obliczeń p. Ludwika Landau'a (zeszyt 2. prac Instytutu Badania Konj. Gosp. i Cen za rok 1932) suma wydatków rzeczowych Państwa (włączając kolej i pocztę, wyniosła za r. 1928/9 blisko 1.800 milj. Dodając tu inne instytucje prawno-publiczne z wyjątkiem skomercjalizowanych przedsiębiorstw, otrzymalibyśmy zapewne ogólną sumę wydatków instytucyj prawno-publicznych na dostawy i roboty ponad 2 miljardy. Kilko procentowe wahania cen dają więc w rezultacie zmniejszenie lub zwiększenie budżetów publicznych o kilkadziesiąt i więcej miljonów złotych rocznie. A przecież t. zw. cena gospodarczo uzasadniona od cen przetargowych musiałaby odbiegać conajmniej o kilka procent. Właściwie ten jeden motyw byłby wystarczający, ażeby jeśli nie ze względów logicznych, to praktycznych, przekreślić pomysł ceny gospodarczo uzasadnionej. A jeżeli już mamy uważać zamówienia rządowe za jeden z elementów polityki gospodarczej Rządu, to należałoby raczej pamiętać o tem, że najlepszą polityką jest zawsze polityka kompresji budżetu. Na cenie „gospodarczo uzasadnionej" zyskać mogą jedynie te gałęzie, które są szczególnie zainteresowane w dostawach dla Państwa. Inne i całość życia gospodarczego mogą na tem tylko stracić. Oczywiście, że są pozatem argumenty bodajże niemniej ważkie, ale przekonywujące tylko dla mniejszości ze względu na ich bardziej teoretyczny charakter.

W każdym razie do ludzi obdarzonych choćby szczyptą wyobraźni i humoru przemówić musi obrazek, kiedy dowódca detaszowanego szwadronu, kuując od żyda owies dla koni, miałby orzekać. czy cena jest gospodarczo uzasadniona. W ten sposób decydowanie o zagadnieniu, co do którego najwytrawniejsi ekonomiści nie zaryzykowaliby wypowiadania się w sposób stanowczy, znalazłoby się w rękach obdarzonych większą decydywnością niż kwalifikacjami w tej sprawie. Dla piszącego te słowa najważniejszy jest zresztą argument, który zapewne ma najmniejszą siłę przekonywania, argument z zakresu metodyki. Po pierwsze rozporządzenie czy ustawa trwa i trwać musi całe lata — poliyka gospodarcza Państwa zmienia się i zmieniać się musi w zależności od okoliczności. Nie można więc podporządkowywać trwałej normy aktualnej polityce. Po drugie oddziaływanie interwencyjne Państwa na życie gospodarcze jest środkiem skutecznym nieraz i celowym, ale nieraz niebezpiecznym. Dlatego też powinno ono mieć charakter nie reguły, lecz wyjątku o granicach wyraźnie zarysowanych w czasie i przestrzeni. O ile np. koncepcja wpływania drogą zamówień rządowych na sezonowość pracy w przemyśle nastręcza trudności tylko praktyczne, a nie zasadnicze, o tyle robienie z całości zakupów państwowych, zakupów de facto interwencyjnych jest i praktycznie i zasadniczo niedopuszczalne. Dostawy dla Państwa są w pierwszym rzędzie środkiem zaspakajania potrzeb zbiorowych i obciążeniem dla budżetów publicznych, a dopiero na drugim planie mogą być uważane za narzędzie polityki gospodarczej, dyktowanej jakiemikolwiek innemi motywami.

W przeciwieństwie do nieokreślonych i mętnych koncepcji w rodzaju ceny gospodarczo uzasadnionej zakupy państwowe można byłoby ująć w stare i wypróbowane formy jednolitego systemu przetargowego. Gdyby nie to, że... Właściwie żadna przeszkoda nie istnieje. Jedynem zastrzeżeniem wysuwanem przeciwko systemowi przetargowemu jest to, że w niektórych wypadkach mieliśmy do czynienia przy przetargach z dziką konkurencją ustalającą ceny na poziomie dotkliwie stratnym — byleby tylko utrzymać się przy dostawie. Otóż twierdzenie, że tego rodzaju zjawiska są nieuchronnym rezultatem systemu przetargowego jest poprostu nieporozumieniem. W rzeczywistości są one rezultatem spaczeń systemu przetargowego, wyrażających się w rozpowszechnionej metodzie dodatkowego pertraktowania z dostawcami już po zakończeniu przetargu, dodatkowego zmuszania dostawców do obniżenia ofert wniesionych do przetargu. Jeżeli zapobiegnie się temu niezdrowemu procederowi, system przetargowy stanie się tem, czem jest w zasadzie i w istocie, t. zn. konstrukcją zapewniającą instytucjom prawa publicznego możliwość najtańszego zakupu, w każdym wypadku w warunkach jak najbardziej pokrewnych do normalnej konkurencji rynkowej. Jeżeli usunąć od przetargu firmy notorycznie niesolidne, znajdujące się w stanie upadłości i t. p. wyłączona zostanie możliwość, ażeby ceny kształtować się miały na poziomie rujnującym dla normalnego oferenta. Wypadki tego rodzaju mogłyby zajść tylko wyjątkowo np. wtedy, kiedy firmie stojącej w przededniu bankructwa udałoby się przedostać przez sito selekcji. Nic dziwnego zresztą, że w ostatnich czasach przykłady podobnych zjawisk były częste. Byliśmy w pierwszej fazie procesu przystosowawczego, kiedy na rynku znajduje się duża ilość firm o zagrożonej egzystencji. Z momentem znacznego zaawansowania się procesów przystosowawczych ustaje to niebezpieczeństwo.

I jeszcze jedno. Należy liczyć się z faktami. W danym wypadku fakt to to, iż tendencja w kierunku samowolnego rozmieszczania zamówień, tendencja nie zawsze identyczna, ale często połączona z korupcją jest głęboko zakorzeniona. Tylko prosty i jednolity system, jakim jest przetarg, pozwoli uchronić się od zjawisk samowoli i korupcji. Pojęcie ceny gospodarczo uzasadnionej otworzy dla nich szeroko drzwi.

c. b.

PSYCHOZA.

W pierwszych dniach lipca b. r. przed okazały gmach jednego z banków państwowych w Warszawie zajechała karetka pogotowia. Wezwali ją dwaj młodzieńcy, oczekujący na wyjście z banku ich ojca, aby go czemprędzej przewieść do zakładu dla nerwowo chorych. W banku powstała konsternacja, przyszłego pacjenta Tworek uprzedzono, co go czeka, wobec czego ukrył się on, a jednocześnie wezwano policję. Policja stwierdziła, że papiery, któremi synowie legitymowali swe prawo do pozbawienia ojca wolności, nie są w porządku, karetka przeto odjechała z powrotem. Przyczyna tego sensacyjnego zdarzenia była nadwyraz prosta: ojciec, właściciel folwarku, człowiek gospodarny i sumienny, przyjechał do banku płacić zapadłe należności. Synowie jednak mieli inny pogląd na tę sprawę i postanowili udaremnić uiszczenie się dłużnika z ciążących na nim zobowiązań.

Przed kilkoma laty pewien zamożny właściciel ziemski zaciągnął okolicznościową, drobną pożyczkę sąsiedzką, nb. od chłopa. Gdy przeszedł szereg terminów płatności, wierzyciel zwrócił się do dłużnika z prośbą o uiszczenie długu; dłużnik odmówił. Sprawa poszła do sądu i, zdawało się, że wygrana wierzyciela jest jasna jak na dłoni, jednakże nie otrzymał on ani grosza: ziemianin zaprezentował sądowi świadectwo ubóstwa... Nie był to wypadek odosobniony, gdyż złośliwi twierdzą, że dzisiaj co drugi ziemianin korzysta z prawa ubogich.

W jednym z wydziałów pewnej Izby Skarbowej władze fiskalne wspólnie z przedstawicielami organizacji zawodowej badali odwołania podatników od wymiaru, dokonanego przez urzędy skarbowe. Jednego podatnika broniono dosyć miękko. Zdziwionym nieco urzędnikom jego urzędowi obrońcy wytłomaczyli, że podatnik ten ma... zbyt niską stopę życiową. Sam zaś podatnik, zapytany wprost, czy naprawdę nie może płacić, odpowiedział, że — wprost przeciwnie — płacić chce i może bez uszczerbku dla swych interesów, nie decyduje się jednak na to z obawy bojkotu towarzyskiego, jaki go czeka w razie punktualnej i całkowitej spłaty przypadających nań podatków.

— Jedna jaskółka nie czyni wiosny. Ale trzy jaskółki już coś mówią o zmianie pory roku. Przykładów psychozy niepłacenia przytoczyć możemy więcej. I to nie są anegdotki kryzysowe, lecz — fakty prawdziwe, autentyczne, wiarygodne. Byłoby raczej dziwne, gdyby ich nie było. Bo jakże: polak ma chyba we krwi niechęć płacenia, on tej czynności organicznie nie znosi i jest osobiście a boleśnie dotknięty, gdy ma płacić zaciągnięte zobowiązania lub daniny publiczne. Przez tyle wieków szlachta uprawiała metodę „zarywania“ wierzyciela, zwłaszcza, że był nim zazwyczaj element obcy, niesympatyczny i pogardzany. Ten wielowiekowy nawyk przetrwał rozbiory i niewolę, doczekał się niepodległości i jeszcze się wzmocnił pod wpływem zastrzyku inflacyjnej dewaluacji. Kryzys ostatnich 4 lat był także wodą na jego — dłużnika — młyn, mielący sieczkę beznadziejnych protestów wekslowych, zapadłych a niespłaconych rat, zaległych podatków etc. Nadmierna niekiedy gorliwość poniektórych władz skarbowych również sprzyjała nastawieniu anti-płatniczemu: jeśli mam płacić więcej, niż się odemne należy, to wolę nie płacić wcale...

I tak „ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka“... zaległości. Rosną one jak lawina, urastają do cyfr astronomicznych a zarazem humorystycznych, bo nikt się już niemi nie przejmuje; co najwyżej mniej wesoło nastrojeni dłużnicy oczekują moratorjum, dalszych ulg i umorzeń lub bonifikat za wpłacone terminowo należności. Dłużnik jest dzisiaj zdemoralizowany do szpiku kości i, chociażby mógł płacić, nie zapłaci ani grosza albo się będzie do upadłego targował. Stanie za nim sąd i opinja publiczna, tolerujące jawne ukrywanie majątku dłużnika przed wierzycielem, przepisywanie majątku na krewnych bliskich i dalszych, dzielenie lub poprostu dopisywanie fikcyjnych wierzytelności w procedurze upadłościowej etc.

Dłużnik rozgrzesza się dzisiaj wzrostem siły nabywczej pieniądza, usprawiedliwia fiskalizmem i drożyzną kredytu, uspokaja pewnością, że przecież wierzyciele nie zrobią o to rewolucji. Nawet robotnicy, którym się zalega z wypłatą zarobków. Wierzyciele są jak stado potulnych baranów, dających się strzyc w imię świętego spokoju. Jeżeli mają za sobą prawo, którego nawet dłużnik nie kwestjonuje, to i tak rezygnują z realizacji bezspornych należności. Lepiej odrazu położyć krzyżyk na dotychczasowej pretensji, niż powiększać ją o nowe koszty egzekucji. Stąd częste, codzienne wypadki niestawiennictwa wierzycieli do układu zapobiegawczego lub upadłościowego, stąd spokojne przyglądanie się wierzycieli, jak dłużnik, który zobowiązał się w układzie do zapłaty części należności, nie płaci nic i płacić nie ma zamiaru. Stąd wysokie „delcredere“ dla każdego nowego, następnego dłużnika...

Polska jest krajem, który zachował swobodę transferu, nie zaaresztował i nie zamroził oficjalnie, ograniczeniami płatniczemi czyichkolwiek należności, a mimo to nie posiada takiego kredytu, jak — dajmy na to — Niemcy, które postąpiły wręcz odwrotnie. Dużo się na to przyczyn złożyło, gospodarczych i poza-gospodarczych, ale jedno jest także pewne: Niemcy obiecują, że zapłacą, kiedy będą mogli, dzisiaj zaś pretensje wierzycieli uznają w 100%, my zaś domagamy się od wierzyciela, aby zrezygnował ze swych pretensyj, lub wyrażamy ochotę zapłacenia mu drobnej części tego, co mu się należy. Bo tak samo postępujemy wobec wierzycieli zagranicznych, jak i wobec krajowych; jeśli nawet w stosunku do tych pierwszych usiłujemy zachować się względnie przyzwoicie, to fakt lekceważenia zobowiązań wewnętrzno - krajowych napawa ich obawą, że i na nich przyjdzie kreska i że nie dziś, to jutro przedstawimy świadectwo ubóstwa...

z i.

POLEMIKA

BOLESŁAW KACZMARKIEWICZ

JESZCZE O TARYFACH KOLEJOWYCH I KONJUNKTURZE

O ile w prasie codziennej, a także w czasopismach ekonomicznych, znajdujących się pod wpływem tych lub innych ugrupowań gospodarczych poruszane są często zagadnienia taryf kolejowych, o tyle rzadkością jest spotkanie się z tym tematem w opracowaniu niezależnych a kompetentnych ekonomistów.

Z wielkiem tedy zadowoleniem stwierdziłem zainteresowanie się tą sprawą naszego wybitnego ekonomisty p. Józefa Poniatowskiego. Zadowolenie moje było tem większe, że bezpośrednim powodem tego zainteresowania był mój artykuł p. t. „Taryfy kolejowe a konjunktura"[1]), który p. Poniatowski poddał gruntownej krytyce w artykule p. t. „Rozważania taryfowe laika"[2]).

Przedewszystkiem ze wstępu tego artykułu wywnioskowałem, gdzie leży przyczyna wyżej wspomnianej wstrzemięźliwości naszych ekonomistów, jeśli chodzi o sprawy polityki taryfowej. Oczywiście nigdy nie przypuszczałem, że przyczyną tej wstrzemężliwości było niedocenianie tego zagadnienia, które specjalnie w naszych warunkach ma doniosłe znaczenie. Przyczyną tą, sądząc z artykułu p. Poniatowskiego, byłoby skomplikowanie dziedziny taryfowej, dostępnej tylko dla fachowców. Z poglądem tym trudno mi pogodzić się, uważam bowiem, że podstawą fachowości taryfowców jest gruntowna znajomość ekonomiki. Niewątpliwie, sama technika taryfowa wymaga pewnej specjalizacji, nietrudnej zresztą do opanowania, jest to jednak tylko nadbudówka, która powinna się znajdować na solidnym gmachu wiedzy ekonomicznej. Z pewnością wiele braków i niedociągnięć naszej polityki taryfowej dałoby się uniknąć, gdyby więcej wykwalifikowanych ekonomistów poświęcało się tej specjalności, a ekonomiści nie-specjaliści taryfowi więcej zajmowali się sprawami polityki taryfowej...

Dowodem tego, że dobry ekonomista łatwo opanowuje zagadnienie taryfowe, może być właśnie omawiany tu artykuł p. Poniatowskiego, we wstępie którego Autor ostrzega, że zagadnienia taryfowe to niemal czarna magja dostępna tylko dla wtajemniczonych, a następnie wykazuje zupełną swobodę poruszania się na tym gruncie, na którym uważa się za laika.

Swoboda ta jest zupełna, pozwalająca p. Poniatowskiemu rozprawić się z polityką taryfową P. K. P., odsuwając na drugi plan polemikę z mojemi wywodami o charakterze ogólnym, raczej teoretycznym i abstrahującemi od polityki taryfowej tej lub innej sieci kolejowej. Wnoszę z tego, że artykuł mój został przez p. Poniatowskiego potraktowany jako oficjalny komentarz do polityki taryfowej naszych kolei i na przykładzie tej polityki Autor stara się obalić moje poglądy. Wolałbym, żeby metoda była odwrotna, chociaż obawiam się, że trudno byłoby w dotychczasowej praktyce znaleźć dość przekonywujące przykłady, przemawiające za, — lub przeciw moim tezom, o ile mi bowiem wiadomo, nigdzie dotychczas polityka taryfowa kolei nie była celowo zużytkowana do łagodzenia przebiegu pełnego cyklu konjunkturalnego. W każdym razie mogę upewnić, że polityka taryfowa P. K. P. nie była prowadzona według mojej „recepty", chociażby z tego powodu, że Instytut Badania Konjunktur nie mógł dotychczas nigdy dać dostatecznie pewnej oceny co do punktu cyklu konjunkturalnego, a ocena taka, jak to zaznaczyłem w moim artykule, jest koniecznym warunkiem stosowania tej recepty.

Nie podejmuję przeto obecnie polemiki na temat polityki taryfowej P. K. P., — stanowiący większą część artykułu p. Poniatowskiego, — korzystając w tej chwili z gościnności „Gospodarki Narodowej" tylko do obrony moich poglądów, które, jak zaznaczyłem wyżej, są zupełnie niezależne od aktualnej polityki taryfowej naszych kolei.

P. Poniatowski zarzuca mi, że nie udowodniłem argumentami ekonomicznemi wysuniętej zasady, że opłaty przewozowe winny być ustanawiane nie w zależności od ogólnego poziomu cen, a tylko na poziomie, pozwalającym pokryć koszta eksploatacji. Uważałem, że w czasopiśmie ekonomicznem zbędne jest takie uzasadnienie. Wszak trzeba się zgodzić, że koszta produkcji określają dolną granicę cen.

Ponieważ taryfa kolejowa nie jest taryfą celną, przeto musi mieć na względzie nietylko kwestję obciążenia danego towaru, ale i koszta własne kolei. Statycznie biorąc, możemy przyjąć, że przy opracowywaniu taryfy te dwa elementy zostały odpowiednio uwzględnione w stawkach przewozowych.

Jednakże w przebiegu cyklu konjunkturalnego elementy te ulegają zmianom i stawka przewozowa staje się funkcją dwuch zmiennych, co znacznie komplikuje sprawę. Przy pogarszaniu się konjunktury wraz ze spadkiem cen następuje spadek przewozów, a więc wzrasta koszt własny jednostkowy. Wprawdzie to rozumowanie nazwał p. Poniatowski pseudo-dogmatem, używanym przez kartele w obronie utrzymania cen na niezmienionym poziomie, nad którym Rząd przeszedł do porządku dziennego. Uważam jednak, że tak nie było. Jeżeli, pomimo powyższego rozumowania Rząd przeprowadził obniżkę szeregu cen kartelowych, to dlatego, że nie uznał za udowodnione, że obniżka cen pociągnie za sobą deficytowość produkcji. Przy przedsiębiorstwach kolejowych, które zawsze Rząd kontroluje, a często bezpośrednio prowadzi, sytuacja finansowa jest zawsze wyraźna i niema obawy, aby argumenty ekonomiczne traktowane były

---

[1]) Gospodarka Narodowa Nr. 2 z 1933 r.

[2]) Gospodarka Narodowa Nr. 6 z 1933 r.

jako bluff. Wobec tego twierdzenie, że spadek przewozów może prowadzić do podwyżki cen za pozostałe przewozy nie wydaje mi się paradoksem, szczególnie jeśli się zważy, że kolej jest przedsiębiorstwem o masowym charakterze produkcji i wysokim odsetku kosztów stałych. Przytoczę tutaj fakt, że w r. 1931 wobec spadku przewozów i pogarszającej się konjunktury koleje amerykańskie (U. S. A.) podwyższyły swoje taryfy, pomimo ogólnego spadku cen.

Dalej p. Poniatowski formułuje zarzut, że gołosłownie zakwestjonowałem brakiem zależności bezpośredniej słuszność motywowania żądań zniżki taryf ogólną zniżką cen. Wydaje mi się, że to co powiedziałem w poprzednich ustępach mojego artykułu ogólnie o zasadach budowy kol. taryf towarowych, było wystarczające, a uczyniona dalej wzmianka, że pomiędzy opłatami przewozowemi a ogólnym poziomem cen istnieje zależność pośrednia (via koszta eksploatacji) nie powinna robić wrażenia sprzeczności. Wszak konjunkturalny spadek cen niezwiązanych może nie wpłynąć na koszta eksploatacji kolei, natomiast wpłynie na te koszta niewątpliwie długofalowy ogólny spadek cen. Okres przystosowania gospodarki kolejowej do zmieniających się warunków ogólno - gospodarczych z natury rzeczy postępuje wolniej niż mniejszych przedsiębiorstw, jednakże przystosowanie wcześniej czy później następuje.

P. Poniatowski uważa, że jestem niekonsekwentny, pragnąc połączyć możność interwencji taryfowej z zasadą takiej budowy taryfy, aby dochód z przewozów dawał osiągalny w danym czasie i miejscu zysk. Otóż twierdzę, że to jest możliwe, gdyż istnieją przedsiębiorstwa państwowe, przynoszące dochód i służące w razie potrzeby zadaniom polityki gospodarczej. Ale nie o to tu chodzi. Przytoczone wyżej zasady były przeze mnie podane jako podstawa kalkulacyjna taryfy, a polityka taryfowa może, a nawet musi operować dowolnie tak zbudowaną taryfą. Już każde odchylenie ilości przewozów od ilości przyjętej przy budowie taryfy wpływa na wyniki finansowe (daje pole do takich lub innych dyspozycyj taryfowych).

Tyle o zarzutach dotyczących moich rozważań natury ogólno-taryfowej, stanowiących raczej wstęp do właściwego tematu, którym p. Poniatowski zajął się ubocznie, uważając, że mój projekt łagodzenia przy pomocy taryf przebiegu cyklu konjunkturalnego jest nierealny „choćby ze względu na to, że instytuty badawcze nie są w stanie każdej chwili stanowczo ocenić, w jakim punkcie cyklu konjunkuralnego kraj się znajduje". Wobec tego, że mój projekt opierałem na „dokładnej znajomości każdoczesnej sytuacji gospodarczej", nie zamierzam upierać się przy jego realności, gdyż powyższe oświadczenie p. Poniatowskiego jest dla mnie najzupełniej miarodajne.

Nie uważam jednak, że zostało udowodnione, iż mój projekt byłby niewłaściwy, zakładając możność należytej oceny i określenia punktu cyklu konjunkturalnego.

P. Poniatowski twierdzi, że łagodzenie wahań konjunkturalnych powinno polegać na umiarkowanem dostosowywaniu opłat do zmian siły nabywczej pieniądza, t. j. obniżeniu stawek w fazie recesji „głównie dla towarów, których ceny najbardziej spadły i dla dalszych odległości". Otóż siłę nabywczą pieniądza mierzy się ogólnym indeksem cen, który jest abstrakcją, nie dającą żadnych podstaw do konkretnych posunięć taryfowych. Dlatego też zapewne autor pragnie obniżać taryfy głównie dla towarów silniej dotkniętych spadkiem cen.

Jakby taka interwencja wyglądała w praktyce, zobaczmy na przykładzie, zbliżonym do naszej rzeczywistości. Cena zboża spadła np. o 50%, a cena węgla utrzymała się bez zmiany; obniżamy wydatnie taryfę na zboże, z czego oczywiście rolnik nie korzysta (p. Poniatowski neguje możność dowolnego kierowania ciężaru opłat przewozowych), a tylko w najlepszym razie konsument, który i tak już ma chleb tani, natomiast np. przemysł ceramiczny, dotknięty również spadkiem cen, płaci nadal nietylko wysoką cenę węgla, ale i wysokie zań przewoźne. Dzięki małej elastyczności popytu na zboże, zniżka taryfy nie wpłynęła na wzrost konsumcji zboża, a więc i na przewozy; natomiast również dzięki większej elastyczności popytu na wytwory przemysłu ceramicznego, przewozy tutaj spadły znacznie, a obniżka taryfy na te wytwory w czasie recesji nie wpłynie na wzrost zbytu, kurczącego się nietylko w związku ze zmniejszaniem się dochodu społecznego, ale i ze względów psychologicznych (oczekiwanie dalszego spadku cen). Kolej jest tutaj bita podwójnie: spadkiem przewozów i obniżką taryfy, a konjuntkura płynie swojem korytem. Jeżeli zaś kolej wskutek takich nieprodukcyjnych z punktu widzenia konjunkturalnego zniżek taryf znajdzie się sama w ciężkiem położeniu i w czasie depresji nie obniży taryfy na węgiel, aby przyjść z pomocą przemysłowi ceramicznemu i innym, znajdującym się w podobnem położeniu — to oczywiście nie wpłynie to na ułatwienie i przyśpieszenie poprawy w tych przemysłach.

Najbardziej gniewa p. Poniatowskiego wysunięta przeze mnie możliwość podwyżki taryf na niektóre dobra konsumcyjne na początku recesji. Jak to wynika z moich wywodów, zabieg ten ma raczej charakter fiskalno-kolejowy, liczyć się bowiem trzeba, że dalsza interwencja będzie kosztowała. Ponadto podwyżka taka jest uzasadniona i tem, że w fazie ożywienia i nadmiernego wzrostu cen proponuję obniżkę taryf na niektóre dobra konsumcyjne, przeto po zakończeniu tej części akcji, słusznym wydaje się powrót do dawniejszych stawek. Producent, który ma ponieść tę podwyżkę, nic tu nie traci, gdyż oddaje tylko to, co wziął przy poprzedniej zniżce i to w zmniejszonym rozmiarze wobec spadku przewozów. Lepiej mu ponieść nieco większe koszta na początku recesji, aniżeli spotkać się z odmową pomocy kolei, która mu będzie potrzebna później do podźwignięcia swego warsztatu.

Tak samo w późniejszych okresach zastoju akcja obniżki taryf na dobra produkcyjne jest wskazana dla warsztatów, pracujących na granicy rentowności, albo dla warsztatów całkowicie lub częściowo unieruchomionych. Natomiast podwyższenie taryf na dobra produkcyjne w fazie ożywienia niewątpliwie podziała hamująco na nadmierne inwestycje i jeżeli będzie przeprowadzone łącznie z innemi odpowiedniemi posunięciami dość wcześnie, — nie przyśpieszy załamania. Zwiększenie ryzyka inwestycyj przez podniesienie ich kosz-

tów, między innemi drogą podwyżki taryf niewątpliwie wpłynie na zaniechanie wielu z nich. Wszak rozmiar ryzyka w pierwszym rzędzie decyduje o powstaniu lub rozbudowie przedsiębiorstw i to nie grynderskich, a takich, które ściśle kalkulują.

Pan Poniatowski przyznaje mi rację, że różne operowanie taryfami przewozowemi w stosunku do dóbr wytwórczych i konsumcyjnych byłoby narzędziem subtelniejszem, obawia się jednak zawodności takiego manipulowania. Uważam, że zawodność ta przy należytem opanowaniu polityki gospodarczej może być znacznie zredukowaną.

Jeżeli chodzi o kwestję przerzucania ciężaru opłat przewozowych, to technika taryfowa posiada w tym względzie różne środki, pozwalające na kierowanie tego ciężaru tam, gdzie potrzeba.

Wróćmy jeszcze do tezy p. Poniatowskiego, która polega na biernem dostosowywaniu taryf do cen poszczególnych towarów w przebiegu cyklu konjunkturalnego.

Otóż, o ile mogłaby być mowa o laicyźmie w dziedzinie polityki taryfowej, który sobie p. Poniatowski przypisuje, to chyba w nadmiernem wiązaniu taryf z cenami towarów. Teoretycznie biorąc, cena towaru nie daje jeszcze podstawy do określenia stawki przewozowej. Daje ją dopiero zestawienie dwóch cen: w miejscu produkcji i konsumcji. Najniższy koszt własny w miejscu produkcji i najwyższa cena płacona w miejscu konsumcji wyznacza maksymalną stawkę przewozową, przyczem może ona być niższa dla towaru droższego i odwrotnie. Wchodzi tu w grę wzajemne położenie geograficzne w stosunku do rynku zbytu konkurujących przedsiębiorstw, konkurencja rynków zbytu między sobą i t. d.

Ceny towarów, jako wskaźniki do określania opłat przewozowych, stanowią tylko praktyczne ułatwienie w budowie szematu taryfowego, t. zw. klasyfikacji normalnej, a właściwe regulowanie opłat następuje w t. zw. taryfach wyjątkowych, gdzie bierze się pod uwagę przewozową zdolność płatniczą towarów, wyznaczaną w zależności od wyżej wspomnianych zasad. Przeglądając jakąkolwiek taryfę można często znaleźć niższe opłaty dla droższych towarów, niż dla tańszych.

Również spadek ceny nie zawsze wskazuje na to, że zmniejszyła się przewozowa zdolność płatnicza towaru. Np. wskutek spadku cen surowca, robocizny, albo wskutek ulepszeń technicznych, obniżone zostały ceny jakiegoś wyrobu i zbyt jego powiększa się. Czy koniecznem jest jeszcze obniżanie taryfy?

Natomiast w innym wypadku koszta produkcji wzrosły wskutek np. zakazu przywozu taniego surowca zagranicznego, który ma być zastąpiony droższym krajowym. Aby wyrównać zwyżkę cen i nie hamować zbytu, wskazane będzie obniżenie taryfy.

Metoda p. Poniatowskiego ma niewątpliwie jedną zaletę: niesłychanie upraszcza zadanie polityki taryfowej, zwalniając ją nietylko od bardziej wnikliwego śledzenia życia gospodarczego, ale i od interesowania się kosztami eksploatacji kolei. Wystarczać ma śledzenie zmian cen. Dodatni wpływ tej metody na konjunkturę może być tylko ten, że w czasie kryzysu, a więc spadku dochodu społecznego ciężar kosztów transportu byłby zmniejszony. Ten sam skutek wywarłaby i moja metoda, gdyż ja również proponuję zniżki mające na celu hamowanie spadku przewozów, a następnie interwencyjne zniżki na dobra wytwórcze. Jednakże w mojej koncepcji uniknęłoby się różnych ujemnych a nieprzewidzianych skutów takiego uproszczonego działania, o jakich wspomniałem wyżej. Natomiast, biorąc pod uwagę również i stan finansowy kolei, możnaby wydatniej i skuteczniej działać tam i wtedy, gdzie i kiedy tego najwięcej życie gospodarcze potrzebuje.

Zaznaczyłem już wyżej, że negatywna ocena p. Poniatowskiego co do realności mego projektu jest dla mnie miarodajna. Mam jednak przeświadczenie, że obroniłem (na ile pozwalały szczupłe ramy tego artykułu) moje poglądy, które będę uważał narazie tylko za teorję. Wierzę jednak w postęp nauki oraz w rozwój ekonomiczny instytucyj badawczych. Odkładam więc sine die moją metodę konjunkturalnej interwencji taryfowej, oczekując na udoskonalenie badań nad konjunkturą. A może do tego czasu wahania cykliczne znikną w linji trendu?

NOTATKI

PLANOWOŚĆ I HUMOR.

Nie mamy zamiaru w tej chwili dyskutować poważnie nad zagadnieniem planowania, a w szczególności granic możliwości planowania. Nie mamy, gdyż przyczyny, która spowodowała skreślenie niniejszych uwag nie możemy zaliczyć do rzędu zjawisk poważnych.

Rzecz jest wzięta z życia obcego, tem niemniej mamy i my sporo entuzjastów planowania integralnego, dla których kwestja granic planowości nie istnieje i którym co najważniejsze, brakuje najistotniejszego składnika planowości, świadomości celu.

Wpadła nam w ręce rosyjska książka. U góry na okładce napis: Leningradzki naukowo-badawczy Instytut Pracy. To brzmi poważnie. Tytuł dzieła zastanawia, a nawet frapuje: „O metodzie planowania ludności w drugiej piatiletce". Tytuły poszczególnych rozdziałów, jak „Obliczenia niezbędnych zapasów ludności w Leningradzkim okręgu", „Potrzebna siła robocza w Leningradzkim okręgu" — wzmagają zainteresowanie, przystępujemy więc do czytania.

„W warunkach budowy socjalizmu, nam rozumie się, potrzebnem jest nie obliczanie najważniejszej produkcyjnej siły — rąk roboczych, a tym samym i ludności, a planowanie jej". „Przy planowaniu ludności i nadprodukcji winniśmy brać za podstawę rozwój najważniejszych gałęzi gospodarki społecznej, co określi nam potrzebna ilość przemysłowego proletarjatu".

Sic. Na „wiekuiste" pytanie — nos dla tabakiery czy tabakiera dla nosa — mamy decydującą, pozbawioną wszelkich wątpliwości odpowiedź — planu wytwórczości nie należy układać według potrzeb ludności, ale odwrotnie, ludność musi rozmnażać się w takim stopniu, żeby „umożliwić wykonanie postawionych przez Partję i Rząd konkretnych produkcyjnych planów i zadań". Mamy tu zagadnienie regulacji przyrostu naturalnego postawione pod zupełnie innym kątem widzenia niż ten, który jest rozwijany w naszej literaturze i publicystyce poświęconej temu problemowi.

Koronę naukowego myślenia stanowią, jak wiadomo, definicje. Omawiane dzieło zawiera parę definicyj bijących wszelkie, superamerykańskie, rekordy:

I. „Planować liczbę urodzeń — znaczy planować przypuszczalną absolutną liczbę dzieci, mających urodzić się w danym roku kalendarzowym". Abstrahujemy od strony formalno - logicznej. Szkoda tylko, że nie powiedziano jaki organ władzy ma planować i wykonywać „zadania Rządu i Partji" w tym zakresie. Ale to mniejsza — zadanie reprodukcji siły roboczej nie wymaga przecież od władz kłopotu z ustaleniem kadr roboczych dla tego zadania ani podniesienia kwalifikacyj zawodowych.

II. „Planować śmiertelność — znaczy ustalić liczbę osób, logicznie podległych umieraniu. Precyzja tej definicji jest niesłychana. Mówi się, już nie ludności en masse ale o poszczególnych osobach. Nic dziwnego. Tu już planowe i regulujące organy mogą mieć pole do popisu bardzo szerokie a i praktyka rewolucyjna w tym zakresie jest niemała. Ustrój burżuazyjny ma jak wiadomo również swój regulator śmiertelności — wojnę, ale to jest regulator oczywiście bezplanowy.

„Dla kraju, budującego socjalizm, planowanie liczby urodzeń, jak i planowanie śmiertelności, jest kwestją planowania rozszerzonej reprodukcji roboczej siły.... rozszerzona reprodukcja podstawowej siły produkcyjnej — roboczej siły znajduje swe wyrażenie w określonym przyroście naturalnym. Z naszego założenia wynika, że planowanie potrzebnej ilości ludności winno opierać się na zadanym zgóry przyroście naturalnym, opierającym się na „zaplanowanej dynamice rozwoju produkcyjnych sił". Swoją drogą jakto jest pięknie i naukowo powiedziane. A zwłaszcza ten „zadany przyrost naturalny". Obywatel sowiecki będzie miał więc zadaną liczbę potomstwa na daną piatiletkę i może uzyskać ewentualne zaliczenie teściowej do osób „podlegających umieraniu"! W ustroju kapitalistycznym jest gorzej. Tam każdemu człowiekowi może się wydawać, że „liczba dzieci rodzonych przez niego zależy tylko od jego woli (grube nieporozumienie p. a.). Jednak jest to „typowe zjawisko żywiołowe, którego nie można zgóry zaplanować. Zasadniczo (pryncypialnie) inaczej stawia się kwestję u nas. W planowym socjalistycznym gospodarstwie kwestja naturalnego przyrostu, inaczej — rozszerzonej produkcji roboczej siły, daje się planować jak i wszystkie inne zagadnienia społecznego życia".

Nawet w kapitalistycznej oborze zarodowej te rzeczy nie dają się ściśle planować. A tu... ale dość tych bzdur. Wystarczy nawet jak na ogórkowy sezon. Sądzimy iż tego rodzaju wydawnictwa są kompromitacją nauki wogóle a sowieckiej w szczególności. Władze sowieckie, tak zawsze czułe na prestige winny by stanowczo poskromić tego rodzaju wydawnictwa jako „wreditielstwo". Nie jestem krwiożerczy i nie domagam się zbyt surowej kary. Proponuję tylko by autorzy tej pracy, dwuch mężczyzn i jedna kobieta, otrzymali od Partji i Rządu konkretne zadanie w zakresie reprodukcji roboczej siły z tym oczywiście, że potomstwo ich, jako fatalnie obciążone dziedzicznie, nie będzie przeznaczone do pracy w żadnym instytucie naukowym.

Z. Sz.

REDAKTOR ODPOWIEDZALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". **CZESŁAW BOBROWSKI**

Sekretarz Redakcji ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.